

Profesor Szacki był wybitnym uczonym – człowiekiem, który nie tylko pozostawił po sobie ogromny dorobek naukowy, lecz także gromadził wokół siebie ludzi: rodzinę, przyjaciół, kolegów i uczniów. O jego książkach, tak ważnych dla polskiej nauki, powiedziano i napisano w ostatnich latach już wiele. Były ku temu okazje: jubileusz 70-lecia (zob. „Studia Socjologiczne”, nr 4/1999 i książka *Idee a urządzenie świata społecznego* 1999), odnowienie doktoratu przez Uniwersytet Warszawski (2010) i poświęcony mu z tej okazji numer „Przeglądu Filozoficzno-Literackiego” (4(35)/2012) oraz konferencja Archiwum Warszawskiej Szkoły Historii Idei („WSHI: tożsamość – tradycja – obecność”, maj 2013). Jego dzieło z nami pozostanie. W tym numerze „Stanu Rzeczy” żegnamy jego Autora i na tę okazję zamieściliśmy teksty kilku spośród osób, które zechciały podzielić się wspomnieniami na ceremonii pogrzebowej.

* * *

Zanim poznałem Profesora, zdążyłem już przeczytać kilka Jego książek, a jedna z nich, *Kontrrewolucyjne paradoksy*, wywarła bezpośredni wpływ na moje życiowe decyzje. Byłem dopiero studentem I roku historii, ale już wiedziałem, że chcę studiować także socjologię, a po przeczytaniu tej książki zdecydowałem, że chcę być historykiem idei i pracować w Jego zakładzie. To był śmiały plan, pięcioletni, ale wówczas, w drugiej połowie lat 80., żyliśmy jeszcze w gospodarce planowej, a nie w społeczeństwie ryzyka. Na Jego jubileuszu, po kilku kieliszkach wina, zebrałem się na śmiałość i opowiedziałem Mu tę historię, ubarwiając ją szczegółami. Wysłuchał bez słowa i odparł: „No, to się Panu udało”.

Tak, profesor Szacki był człowiekiem legendarnie lakonicznym. Studenci liczyli czasem Jego słowa wypowiedziane w rozmowie. Ale potrafił też mówić, i to bardzo zajmująco, trzeba było tylko trafić na właściwy moment i sprowokować Go do tego. Pamiętam dobrze obiady, a właściwie lunche, ale z winem, w czasie szkoły letniej w Cortonie w przelomowym roku 1989, które przeciągały się do dwóch godzin. Bo Profesor nie tylko mówił, ale też słuchał uważnie, i tak, jak w czasie egzaminów, nigdy nie przerywał. I to chyba paraliżowało Jego rozmówców; ludzie, a w każdym razie Polacy, mówią zwykle dopóty, dopóki im się nie przeszkodzi.

Jego życzliwość można więc było raczej wyczytać niż usłyszeć. W czasie półrocznego pobytu w Oksfordzie, gdzie na początku lat 90. pojechałem pisać doktorat, dostałem od Niego trzy długie, ręcznie pisane listy z USA – poczta elektroniczna dopiero wówczas raczkowała. Komentuje w nich

nie tylko moją pracę, ale też pisze o swojej, a także o miastach i uniwersytetach, które go goszczą. Co charakterystyczne, na jeden z nich trochę się skarży – na papierosa musi wychodzić na zewnątrz. Też się poskarżyłem: w czwartek na śniadanie dają tu małe, okropnie lykowate, wędzone rekiny.

Ostatnio spotkałem go na początku wakacji, przed biblioteką uniwersytecką. Jak zawsze, zapytał, co robię, bynajmniej nie zdawkowo. Opowiedziałem w kilka minut. „A ile Panu zajmie napisanie tego wszystkiego? – Trzy lata, dopiero zaczynam. – Chciałbym jeszcze przeczytać?”. Pracował właściwie do ostatniej chwili. Przed pójściem do szpitala zdążył mi jeszcze przesłać własny tekst – posłowie do polskiego wydania książki zmarłego niedawno Bronisława Baczyńskiego...

Odszedł, ale dobrze wiemy: nie wszystek umarł.

Andrzej Waśkiewicz

* * *

Jerzy Szacki pozostawał poza wszelkimi łatwymi klasyfikacjami ideologicznymi. Nie należał do żadnej z dwóch zwaśnionych Polsk. Jak ujął to w ostatnim czasie profesor Andrzej Waśkiewicz, nie można było go zwerbować.

Nie znaczy to jednak, że Szacki nie był zainteresowany debatą publiczną. Było mu daleko do figury naukowca, zamkniętego w wieży z kości słoniowej. Nie tylko publikował książki na tematy żywo aktualnie dyskutowane, jak społeczeństwo obywatelskie, liberalizm, konserwatyzm. Także osobiście pojawiał się na konferencjach naukowych czy debatach publicznych dotyczących polityki i społeczeństwa III RP.

W czasach rosnącej polaryzacji, z którą mierzymy się obecnie w Polsce, jego postawa wydaje się ważnym wzorcem osobowym. Dziś widać wyraźnie, że jego odmowa łatwego opowiadania się po jednej ze stron i ostrożny sceptycyzm były gwarancją szacunku dla idei i praktyki pluralizmu. Być może – dodajmy – Szackiemu było łatwiej niż innym z tego względu, że jako historyk idei zdawał sobie doskonale sprawę, jakie są konsekwencje ideologicznego zaślepienia i gdzie przebiega granica między snuciem fantazji na temat idealnego społeczeństwa a realnością politycznych okrucieństw.

Gdy zatem wypowiadał się publicznie, raczej schładzał rozpalone umysły polemistów. Publicystyka Szackiego uczy nas, jak elegancko prowadzić gorące spory o Polskę, jak wygląda szacunek dla pluralizmu w praktyce.

Wiemy, że dziś stanowi ważny fragment dziedzictwa życia intelektualnego III RP, warto byłoby ją dziś szerzej przypomnieć – jako źródło inspiracji dla budowania demokratycznych postaw na przyszłość.

Dla „Kultury Liberalnej”, środowiska intelektualnego, z którego się wywodzimy, niewątpliwie najważniejszą jego książką był *Liberalizm po komunizmie* (1994). Jest znaczącym paradoksem, że choć dziś krytykuje się powszechnie ojców polskiej transformacji ustrojowej za zachłyśnięcie się liberalizmem czy też „neoliberalizmem”, praca Szackiego pozostaje do dziś w zasadzie najważniejszą, która stawia cały szereg pytań o nowoczesną historię polskiego liberalizmu. Wiele z nich, jak choćby co oryginalnego do historii liberalizmu wniosły doświadczenia przełomu 1989 roku, pozostaje bez odpowiedzi.

Będzie go szalenie brakowało: nie tylko jako naukowca światowej klasy, ale i jako jednego z najważniejszych w Polsce nauczycieli pluralizmu i sceptycznego dystansu do rzeczywistości¹.

Karolina Wigura i Jarosław Kuisz

* * *

Mam mówić o Jerzym Szackim jak o człowieku prywatnym. Ale dla mnie Szacki jako człowiek prywatny to Pan Profesor. Znałam Profesora od początku moich studiów, bo miał dla nas wykład z historii myśli społecznej. Wówczas był jeszcze adiunktem, ale dla mnie był już kimś ze świata wysokiej nauki, o którego uwagę zaczęłam się starać. Zawsze czułam pewien dystans, nigdy nie przeszliśmy na „Ty”, nawet wówczas, gdy różnica wieku przestała być ważna; ja się krępowalam, a jemu też pewnie nie wypadło lub nie przychodziło to do głowy.

Wbrew powszechnym opiniom, że Profesor był człowiekiem mało mównym, osobiście uważam, że to nieprawda. Co prawda, podczas dyskusji nie rwał się do głosu (jakoś i tak pozwalano mu się wypowiedzieć), ale nigdy nie zauważyłam, żeby nie odezwał się, kiedy należało, żeby nie odpowiedział na zadane mu pytanie.

Profesor nie był człowiekiem wylewnym. Pamiętam swój pierwszy egzamin z historii myśli społecznej na II roku. Wcześniej udało mi się do-

¹ Rozszerzona wersja tego wspomnienia była publikowana w „Tygodniku Powszechnym” (31.10.2016).

stać do jego grupy ćwiczeniowej dla studentów, dla których socjologia była drugim kierunkiem. Egzamin trwał godzinę. Odpowiedź na każde pytanie kończyłam „więcej już nic nie wiem” i starałam się odgadnąć, co On myśli o moich odpowiedziach. A tu nic, żadnej reakcji! Głaz! Kiedy egzamin się skończył, wyszłam i spojrzalam do indeksu: była piątka.

To, że nasze kontakty utrzymały się do teraz, zawdzięczam Barbarze Szackiej. Po marcu 1968 roku zostałam bez pracy, mieszkania i pieniędzy, a co gorsza – bez warszawskiego meldunku. W 1971 roku wyjechałam do Wrocławia i rozpoczęłam pracę w Instytucie Nauk Społecznych Politechniki Wrocławskiej. Przy którejś wizycie w Warszawie spotkałam na wydziale Barbarę, która zaprosiła mnie do siebie do domu. Państwo Szaccy mają bardzo sympatyczne mieszkanie na tyłach Uniwersytetu. Zaproszono mnie do salonu, który wyglądał inaczej niż teraz. (Przy kolejnych wizytach rozmawialiśmy już w jego pokoju, mniej więcej sześciometrowym, który pełnił funkcję gabinetu i chyba sypialni.) Podczas tej pierwszej wizyty poznałam osobiście Florę, bokserkę. Nie wstała na przywitanie, leżała na łóżku ze zwisającą do podłogi tylną łapą. Profesor powiedział, że Flora nie ma prawa leżeć na łóżku, więc mają taką umowę, że póki przynajmniej jedna łapa dotyka podłogi, przyjmuje się, że pies nie leży na łóżku. Bardzo mi się spodobało uzgadnianie z psem definicji „leżenia na łóżku”. To był też jego rodzaj dowcipu.

Powiedziałam wówczas Profesorowi, że chciałabym znaleźć promotora mojej pracy doktorskiej, bo chcę pisać na temat wzorów osiągnięć naukowych w naukach ścisłych. Miałam zamiar zrobić badania empiryczne w środowisku nauk przyrodniczych Wrocławia. Zapytał, czy to znaczy, że chciałabym, żeby on był moim promotorem. Marzyłam o tym, ale chyba nie odważyłabym się sama o to poprosić. Temat nie był z jego dziedziny, ale analiza tekstu była tak dobra, jakby prof. Szacki całe życie analizował ankiety, zastanawiał się nad znaczeniem cytowań naukowych. Lepszego promotora trudno byłoby znaleźć.

Był dla mnie wzorem, i chyba przyjacielem. Często prosiłam go o rady w sprawach naukowych, a czasami także w prywatnych. I nigdy nie tylko nie spotkałam się z odmową, jego uwagi nigdy nie były zdawkowe.

Pamięć o Profesorze bardzo długo pozostanie w środowisku socjologicznym, dzięki jego twórczości, a przede wszystkim dzięki *Historii myśli socjologicznej*. Trudno wyobrazić sobie, żeby w najbliższych dziesięcioleciach ktoś napisał równie obszerną i rzetelną pracę o myśli społecznej od starożytności do współczesności. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na jego

oddziaływanie bezpośrednie. Inni cenili go za to samo, co i ja: za wiedzę, sprawiedliwe traktowanie ludzi, opanowanie i bardzo subtelny, wysokiej próby humor.

Nina Kraśko

* * *

Milczenie przywiera do pewnych miejsc. Jednym z nich jest cmentarz. W milczeniu chowamy naszych bliskich. Cisza staje się wiekuista, niedokończona. Kiedy odchodzimy od grobu, zaczynamy rozmawiać, bo nie można długo trwać w zadumie. Milczenie wyraża szacunek dla zmarłych.

Sięgając wstecz, pomyślałem, że najważniejszym milczeniem obdarzył mnie profesor Jerzy Szacki. To, że słuchał z uwagą, nakładało na mnie zobowiązanie, „aby mieć coś do powiedzenia”. Nie umiałem zwyczajnie z Nim rozmawiać, o czymkolwiek. Sądzę, że taki przywilej mieli tylko Jego bliscy. Czując szacunek i podziw, z trudem przekraczałem granicę milczenia. A przecież właśnie dzięki milczeniu tworzył przestrzeń dla innych. Teraz pozostaje żal i smutek, że tę przestrzeń zabrał ze sobą. A także, że ileś rozmów z Nim się nie odbyło.

Kiedy zastanawiam się nad przestrzenią milczenia, wraca do mnie wspomnienie Szackiego, ale nie jako promotora mojej pracy doktorskiej. To było znacznie wcześniej, bodaj na drugim roku studiów. Bardzo mi zależało, aby zdać u Niego egzamin na piątkę, jak u nikogo innego. Oczywiście milczał nieporuszony, kiedy mówiłem. Żadnego znaku, sygnału, czy błędę, czy też idę dobrą drogą. I dym z fajki, który czynił Go jeszcze bardziej tajemniczym. Tylko Jego oczy wydawały mi się lekko uśmiechać.

Paweł Kuczyński